

ko raz. Chodziło mi o zerwanie z narastającą tendencją do dynastycznego stosunku do funkcji społecznych, tak powszechnego w PRL. Po mnie został wybrany prezesem Zarządu Okręgu krakowskiego ZPAP prof. Antoni Haska. Człowiek superinteligentny, potrafiący w sposób wyrafinowany negocjować, doprowadzając władze do rozpaczy. Oni już widocznie nie wytrzymali tego wszystkiego. W tym czasie przygotowaliśmy zjazd w Krakowie. Agent klubowej restauracji Stanisław Maro na tę okoliczność zabił krowę, bo wtedy, jak wiemy, nie było mięsa. Wszystko było przygotowane i wtedy odmówili nam lokalu. W pewnym momencie dyrektor kinoteatru „Związkowiec” Leszek Sosnowski do mnie dzwoni. „przyjeżdżaj natychmiast. SB było przed chwilą i awanturę mi zrobili, jakim prawem ja ci lokal na zjazd wynająłem” Pojechałem do prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych śp. dr. „Igola” Trybowskiego. Trybowski, świetna, nieodżałowana postać, mówi: „proszę bardzo, ja panu udostępnię salę”. Widocznie do SB to wszystko doszło, że jesteśmy przygotowani i zorganizowani, i jak ludzie jechali pociągami na zjazd, to zawiesili Związek.

Dwa miesiące później, w czerwcu 1983 roku Związek Polskich Artystów Plastyków ostatecznie rozwiązali. Rozwiązanie ZPAP, organizacji o wielkich zasługach i tradycjach (pomimo jego wielu wad), było zbrodnią totalitarnego, obcego i wrogiego państwa, przerywając międzypokoleniową ciągłość przekazu wartości, stratą nie do odrobienia.

W 1989 roku Związek odwiesili, byłem wtedy w jego komitecie reanimacyjnym. Wydaliśmy następny „Głos Plastyków” Zjazd odbył się w grudniu 1989 r. w kinie „Związkowiec” Byłem wybrany na przewodniczącego. Od 10 rano do 5 po południu zrobiliśmy wszystko, wybraliśmy wszystkie władze. W „Gazecie Wyborczej” napisali, że został pobity rekord świata.

## Adam Kalita

Adam Kalita (ur. 27 XI 1955 r.) filmoznawca, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego (1987), studiował filologię polską (1979-1981), następnie filmoznawstwo (1981-1987) i historię kościoła na Papieskiej Akademii Teologicznej (1982-1984). W latach 80. pracownik Domu Kultury w Wieliczce i Biblioteki Jagiellońskiej. W początku lat 90. współwłaściciel antykwariatu, a następnie przedsiębiorca prywatny. Członek Sekcji Kultury Niezależnego Zrzeszenia Studentów w latach 1980-1981. W stanie wojennym działacz podziemnych struktur NZS, członek kierownictwa Krakowskiej Komisji Wykonawczej NZS. Aresztowany w marcu 1983 r., wyszedł z więzienia w wyniku amnestii w lipcu 1983.

**S**tudia rozpocząłem jesienią 1979 r. i zaraz na początku miałem okazję nawiązać kontakty z ówczesną opozycją związaną ze Studenckim Komitetem Solidarności (SKS). Moja aktywność sprowadzała się wtedy do uczestnictwa w kilku wykładach Latającego Uniwersytetu<sup>1</sup> Latem 1980 r., gdy przez kraj przeszła fala protestów robotniczych, przebywałem poza Krakowem. W działalność niezależnej organizacji studenckiej włączyłem się od samego początku. We wrześniu 1980 r. uczestniczyłem w wiecu zorganizowanym przez środowisko krakowskie na dziedzińcu Collegium Broscianum<sup>2</sup>, gdzie powołano komitet założycielski późniejszego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Po ukonstytuowaniu zarządu NZS zacząłem pracować w Sekcji Kultury, którą kierował Krzysztof Dawidowicz. Wydawaliśmy m.in. „Gołębnik”, pismo studentów NZS filologii polskiej. W okresie legalnej działalności wyszło około 5-6 numerów. Przy jego redagowaniu współpracowałem blisko z Adamem Sroką, Krzysztofem Borowcem, Ewą Zbylut, Tadeuszem Marandą. Z kolei na teatrologii naszego wydziału powstało dość popularne pismo „Zgrzyt”, które również redagował Adam Sroka wraz z Jarosławem Tochowiczem. Ponadto organizowaliśmy wykłady i spotkania z różnymi działaczami; było to szczególnie ważne w okresie trwania strajków na uczelniach krakowskich. Uczestniczyłem w obu strajkach w 1981 r. w lutym (chodziło o zarejestrowanie NZS) oraz w listopadowo-grudniowym, zakończonym tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego. W czasie tego drugiego byłem szefem biura strajku (siedziba w Collegium Novum) odpowiedzialnym za jego organizację. Trwał on kilka tygodni, do 11 grudnia 1981 r. Warto może wspomnieć, że jego zakończenie nastąpiło niezgodnie z procedurą. Decyzję taką mógł podjąć cały komitet strajkowy, który

<sup>1</sup> Latający Uniwersytet – cykle wykładów prowadzone od 1977 w ramach niezależnej działalności oświatowej przez naukowców związanych z opozycją demokratyczną, od 1978 pod patronatem Towarzystwa Kursów Naukowych, zakończył działalność w 1981.

<sup>2</sup> Siedziba Instytutu Filozofii i Socjologii UJ w Krakowie, przy ul. Grodzkiej 52.

liczył wówczas ok. 10 osób. Tymczasem w nocy 11 grudnia doszło do spotkania czterech lub pięciu jego członków z rektorem prof. Józefem Gierowskim, po którym podjęto decyzję o rozwiązaniu strajku. Rektor zdołał nas przekonać, że w obliczu bardzo napiętej sytuacji w kraju jego kontynuowanie nie ma sensu i naraża uczelnię oraz samych studentów na niebezpieczeństwo. W rozmowie z rektorem uczestniczyli, z tego co dziś pamiętam, Jan Rokita, Krzysztof Dawidowicz i ja. Wszyscy byliśmy członkami komitetu strajkowego. Następnego dnia ułożyliśmy nam na pracach związanych z zakończeniem strajku, głównie porządkowaniu sal w Collegium Novum, tak aby w poniedziałek 14 grudnia studenci mogli przystąpić do zajęć.

Do domu wróciłem wykończony 12 grudnia w nocy i spałem do południa dnia następnego. Wtedy do mojego mieszkania na ulicy Krowoderskiej 71 przyjechały Dorota Koczwańska i Magda Zalewska, powiadamiając mnie, że wprowadzono stan wojenny. Zabrałem kilka niezbędnych rzeczy i natychmiast opuściłem mieszkanie przekonany, że będą mnie chcieli internować. Przez blisko trzy tygodnie ukrywałem się u mego przyjaciela Janusza Kaczorowskiego, mieszkającego nieopodal przy ul. Mazowieckiej. Przez ten czas miałem kontakt przez pośredników z podobnie jak ja ukrywającymi się Jankiem Rokitą i Markiem Lasotą. Oczywiście miałem też stały kontakt z Dorotą Koczwańską, która była łącznikiem pomiędzy ukrywającymi się studentami.

23 stycznia 1982 funkcjonariusze SB zatrzymali i internowali Janka Rokitę, który wraz z kilkoma osobami m. in. Bogdanem Klichem i Wojciechem Modelskim utworzył na przełomie 1981/1982 Studencki Komitet Obrony Demokracji (SKOD). Dwóch pozostałych internowano w styczniu. W kilka czy kilkanaście dni po aresztowaniu Rokity w moim mieszkaniu przy ul. Krowoderskiej doszło do spotkania, na którym byli obecni m. in. Wiesława Sotwin, Marek Lasota i Andrzej Kaczmarczyk. Tematem wiodącym rozmowy były styczniowe aresztowania i praktyczny rozpad SKOD-u. Wiesia Sotwin, która najbliższej współpracowała z Janem Rokitą, chciała abyśmy byli kontynuatorami SKOD-u. Po dyskusji podjęliśmy decyzję o powołaniu nowej struktury pod nazwą Krakowska Komisja Wykonawcza NZS. W jej skład weszli Marek Lasota, Krzysztof Koszarski, Tadeusz Maranda, Andrzej Kaczmarczyk i ja. W moim przypadku było to rzeczywiste wejście w działalność struktur podziemnych.

Po zawiązaniu KKW NZS wydrukowaliśmy i rozpowszechniliśmy ulotkę. Następnie poprzez Andrzeja Koszarskiego, brata Krzysztofa, przekazaliśmy o tym wiadomość na Zachód. Już w dwa dni później informowało o nas Radio Wolna Europa.

Postanowiliśmy od razu nawiązać łączność z ukrywającymi się członkami kierownictwa małopolskiej „Solidarności”. Dość szybko udało nam się to zrobić za pośrednictwem wykładowców UJ, członków tamtejszej Komisji Zakładowej „Solidarności” Michała Pułaskiego oraz Tomasza i Pawła Studnickich. W kwietniu 1982 r. doszło do mojego spotkania ze Stanisławem Handzlikiem, członkiem Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”. Odkonstrowało się ono nad Wisłą koło Wawelu. Ustaliliśmy wówczas, że będziemy kontaktować się poprzez Pawła Studnickiego. W związku z tym, że przystąpiliśmy do wydawania pisma uzgod-

niliśmy również, że będziemy się wymieniać informacjami. Do kolejnego mojego widzenia z Handzlikiem nie doszło, bo w czerwcu został on aresztowany.

Następne spotkanie z przedstawicielami RKW Małopolska odbyło się w lipcu 1982 w mieszkaniu przy Mazowieckiej, w którym wcześniej się ukrywałem. Byłem strasznie przejęty podejmowaniem przedstawicieli kierownictwa regionu. Na ich przyjazd dość solidnie się przygotowałem, obstawiając sąsiednie ulice naszymi ludźmi, aby ostrzegli nas, gdyby się działo coś niepokojącego. Tymczasem pod dom zajechał „maluch”, z którego wysiadło czterech dość potężnych gości. Myślę, że gdyby po drodze zatrzymała ich milicja, mieli raczej małe szanse, aby uciec. Niestety nie pamiętam już, kto był w składzie wymienionej czwórki. Głównym celem spotkania było omówienie sposobu wymiany informacji, pomoc dla internowanych oraz współpraca wydawnicza.

Niemal zaraz po powstaniu KKW NZS przystąpiliśmy do wydawania własnych pism. Pierwszym z nich było wychodzące od kwietnia „Mimo Wszystko”. Zdążyliśmy wydać trzy numery i dodatek specjalny. W składzie redakcji był m.in. Wojtek Raduchowski i Wojciech Pazdur. Wyjście tego pisma uwiarygodniło nasze istnienie. W czerwcu przystąpiliśmy do wydawania „Serwisu Informacyjnego PAPSS”, który od drugiego numeru nosił nazwę „Serwis Informacyjny Podziemnej Agencji Prasowej Studentów i «Solidarności»”. PAPSS przygotowywał Tomasz Szewczyk, dorywczo Barbara Niemiec. Blisko współpracowali z nim Krzysztof Gurba, Lech Sadowski, Ludwik Stasik. Pismo miało trzy wersje: powielaczową i wydawaną w maszynopisie. Wersja maszynopisowa także miała dwie mutacje. Pierwsza z nich ukazywała się w kilku egzemplarzach, raz w tygodniu, a jej informacje dotyczyły samego Krakowa, tego co się wydarzyło w mieście, na uczelniach i zakładach pracy. Jeden egzemplarz trafiał do naszej piątki z KKW NZS, jeden – na Uniwersytet, kolejny do RKW. Druga mutacja maszynopisowa powstawała po przesłaniu informacji z pierwszej (m.in. usunięciu danych osób, które ich udzieliły); wydawana była w kilkunastu egzemplarzach, które następnie przekazywano do redakcji pism podziemnych. Wersja powielaczowa wychodziła w postaci dwustronnie zadrukowanej kartki papieru w nakładzie kilkuset egzemplarzy.

Nasza działalność nie ograniczała się wyłącznie do wydawania i kolportażu pism, uczestniczyliśmy także w różnego rodzaju protestach i akcjach strajkowych na uczelni. Byliśmy m. in. współorganizatorami dużej manifestacji na Rynku Głównym po mszy w kościele Mariackim 13 maja 1982 r. Zakończyła się ona pamiętnym pałowaniem demonstrantów przez ZOMO. Po tej „zadymie” uznaliśmy, że tego typu aktywność mija się z celem, gdyż tajniacy wyłapią nam najlepszych ludzi. We wrześniu 1982 r. w rocznicę wiecu założycielskiego NZS w Collegium Broscianum położyliśmy na dziedzińcu tablicę, upamiętniającą to wydarzenie. Akcję tę organizował Paweł Zechenter, uczestniczyli ponadto Marek Lasota i Anna Smolarczyk, a zdjęcia z tej uroczystości przechowuje obecnie Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego.

Udało nam się ponadto zorganizować trzy przedstawienia teatru podziemnego, który nawiązywał nazwą oraz konwencją artystyczną do tradycji Teatru Rap-

sodycznego. Na owe spektakle składały się wiązanki wierszy patriotycznych, poezji Zbigniewa Herberta, fragmenty *Dziadów* itp. deklamowane przez trzech, czasami czterech aktorów scen krakowskich, głównie Teatru Starego. Uczestniczyli w nich Jacek Romanowski, Andrzej Chudzik, Zbigniew Kosowski i Maria (Marika) Baster. Przedstawienia odbywały się w mieszkaniach prywatnych. Jedno z nich było u mnie przy ulicy Krowoderskiej, dwa kolejne w mieszkaniu wynajmowanym przez Magdę Zalewską i Dorotę Koczwańską na Białym Wzgórzu w okolicy Salwatora. Gromadziły one widownię w liczbie około 50 osób. W pierwszym uczestniczyli wyłącznie studenci, w następnych także przedstawiciele struktur podziemnych Krakowa (wśród nich Adam Zagajewski i Lesław Maleszka) oraz Nowej Huty. Z obecnością tych ostatnich wiąże się pewien zabawny epizod. Hutników na umówione miejsce miał doprowadzić z pętli tramwajowej na Salwatorze Marek Lasota. Ponieważ panowie się nie znali, uzgodniono, że znakiem rozpoznawczym będzie piłeczka ping-pongowa, podbijana przez jednego z nich, a hasłem pytanie o drogę na Oświęcim i wskazanie przeciwnego kierunku. Na pętli stało więc trzech samotnych, dobrze zbudowanych mężczyzn bawiących się piłeczkami. Gdy podszedł do nich Marek, jeden z hutników, wyraźnie zirytowany, zapytał  *kto k... wa wymyślił tę piłeczkę*. Jednym z nich był Jacek Korbas. Spektaklom na Białym Wzgórzu towarzyszyła specyficzna atmosfera. Dom, w którym odbywały się przedstawienia, znajdował się *vis a vis* domu Władysława Machejka, komunistycznego aparatczyka, a zarazem redaktora „Życia Literackiego” Miał on całodobową obstawę bezpieki. W dniu spektaklu mała, spokojna uliczka zamieniła się w deptak, po którym krążyli wyraźnie czegoś szukający ludzie. Nie wszyscy bowiem, jak się później okazało, byli dokładnie poinformowani o tym, że do mieszkania, w którym odbywało się przedstawienie, wchodzi się od podwórka. Ten, kto nie wiedział, trafił od frontu do niewtajemniczonych właścicieli wynajmowanego przez Dorotę i Magdę mieszkania, zaczynając na dzień dobry od podania hasła: *czy tutaj szyją ubrania na miarę*. Prerażona właścicielka dopiero przy piątej osobie przybiegła do nas, krzycząc *co się tutaj dzieje?* Pomimo zdenerwowania, spektakl szczęśliwie się odbył. Jednak po kilku dniach do mieszkania na Białym Wzgórzu trafiła bezpieka, rozpytując wnikliwie o studentki wynajmujące lokum.

Od momentu powstania KKW NZS naszym celem było wciągnięcie w działalność jak największej liczby ludzi. Mieliśmy kontakt poprzez Andrzeja Kaczmarczyka z Wyższą Szkołą Teatralną, z Politechniką Krakowską, a także przez Marka Domagałę z Akademią Górniczo-Hutniczą, która jednak działała dość autonomicznie. Nie umiem powiedzieć, jaki zasięg miała stworzona przez nas struktura. Podejrzewam, że obejmowała ona około 100 osób.

Tomek Szewczyk poprzez swoją siostrę nawiązał kontakty z licealistami. W drugiej połowie 1982 r. próbowaliśmy zorganizować wykłady dla tych szkół. Prowadzili je studenci z polonistyki. Zorganizowaliśmy dwa, a może trzy wykłady. Do końca 1982 r. uczestniczyliśmy jeszcze w dwóch akcjach strajkowych na uczelniach. Jedną z nich był ogólnopolski strajk po delegalizacji Solidarności 10-11 listopada. W akcji tej uczestniczyli zarówno pracownicy wyższych uczelni, jak i studenci. Byliśmy cały

czas w budynkach, ale zajęcia się nie odbywały. Na Uniwersytecie i AGH akcja ta była bardzo dobrze zorganizowana. Na innych uczelniach odzew na apel o przerwanie zajęć był umiarkowany, a w Akademii Ekonomicznej praktycznie nie było strajku. Tam były problemy organizacyjne. Do kolejnego protestu doszło 13 grudnia.

Nasza piątka, owe ścisłe grono KKW NZS, spotykała się praktycznie raz w tygodniu w różnych miejscach, choć najczęściej u mnie przy ul. Krowoderskiej. Uzgadnialiśmy plan zadań na najbliższe dni i tygodnie. W końcu roku 1982 chcieliśmy kontynuować działalność edukacyjną i prowadzić wykłady w szkołach średnich oraz rozwijać działalność wydawniczą. Nasze wydawnictwa (komunikaty, oświadczenia, oba pisma) drukowaliśmy w różnych miejscach. Jedno z nich zorganizowali Jarek Tochowicz i Olga Czyżewska przy ulicy Smolki. Drukowaliśmy tam nie tylko wydawnictwa NZS, ale też „Solidarności” M. in. w dniach poprzedzających drugą rocznicę Sierpnia wydaliśmy wspólne oświadczenie z RKW. Takie przedsięwzięcia wymagały zorganizowania papieru. Bazę poligraficzną mieliśmy niezłą, bo jeszcze w grudniu 1981 r. wynieśliśmy część maszyn i sprzętu z UJ. Jeden z zarzutów, jakie postanowiono mi po aresztowaniu dotyczyć właśnie kradzieży mienia państwowego, czyli powielacza.

Współpracowaliśmy także z zorganizowanym przy Kurii krakowskiej Arcybiskupim Komitetem Pomocy Więźniom i Internowanym. Organizowaliśmy zbiórki pieniędzy na pomoc rodzinom represjonowanych, załatwialiśmy paczki dla aresztowanych. Mieliśmy stały kontakt z panią Ewą Miodońską. Zresztą kiedy ja zostałem aresztowany, też uzyskałem z Kurii pomoc.

W styczniu 1983 r. nic szczególnego się nie działo i raczej nic nie zapowiadało kłopotów, które miały na nas spaść. Miesiąc później nastąpiły pierwsze zatrzymania ludzi, związanych z naszą strukturą. Najpierw aresztowano Barbarę Bąk, narzeczoną Jarka Krawczyka, a w kilka dni później również jego. Niestety oboje szybko się załamali i zaczęli zeznawać, obciążając szereg osób. Osobiście nie czułem się zagrożony, bo choć znałem Krawczyka z lat 1980-1981, to w stanie wojennym z nim się nie kontaktowałem. Wydaje mi się, że w naszej strukturze funkcjonował gdzieś w sieci kolportażu.

4 marca o 6 rano do mojego mieszkania przy Krowoderskiej wkroczyło pięciu esbeków z nakazem rewizji. W domu była ze mną Dorota Koczwańska. Przez 6 lub 7 godzin trwała gruntowna rewizja. Wyciągnęli wszystkie książki drukowane w drugim obiegu, spisali je, ale nie zabrali ich. Gdy wyrócili dom do góry nogami, kazali nam się ubrać i zabrali do dwóch samochodów<sup>3</sup> Mnie zawieźli od razu do prokuratury wojewódzkiej przy ul. Sądowej, a Dorota trafiła do Komendy Wojewódzkiej MO przy Mogilskiej, o czym oczywiście dowiedziałem się dużo później<sup>4</sup> Na Sądowej prokurator postawił mi kilka zarzutów, m. in. kradzieży

<sup>3</sup> Tego dnia aresztowany został także Tomasz Szewczyk. Ponadto SB przeprowadziła rewizje w mieszkaniach innych członków KKW NZS i ludzi z nimi związanych, m. in. Marka Lasoty, którego tego dnia przesłuchiowano kilka godzin przy ul. Mogilskiej.

<sup>4</sup> Dorota Koczwańska-Kalita do wieczornych godzin była przesłuchiwana przy Mogilskiej, po czym została zwolniona.

mienia, kontynuowanie działalności w stanie wojennym, organizację nielegalnej struktury. Po dwóch godzinach przesłuchania przewieziono mnie stamtąd do aresztu przy ul. Montelupich. Gdy wyprowadzano mnie z prokuratury miałem okazję do ucieczki. Zostawili mnie samego przez pięć minut w samochodzie. Oczywiście wtedy nie mogłem wiedzieć, że tak długo będę bez „opieki”. W ogóle fakt ten wydał mi się mocno podejrzany. Trochę później żałowałem, że nie zdecydowałem się zbiec z tego auta.

Na „Monte” trafiłem początkowo na parter, na oddział specjalny, gdzie przetrzymywani byli ludzie z „Solidarności” i aresztanci kryminalni, w większości związani ze sprawą głośnej wtedy afery srebrnej, ponadto siedzieli tam również skazani na karę śmierci. Jeden z osadzonych ze mną był na pewno współpracownikiem bezpieki. Ponieważ nie doręczono mi nakazu aresztowania w ciągu obowiązujących 48 godzin, zacząłem domagać się zwolnienia z aresztu, ale zignorowano moje protesty. Nakaz dostałem dopiero po trzech dniach. Na oddziale specjalnym siedziałem dwa miesiące, bez żadnego zewnętrznego kontaktu. W tym czasie dotarł jedynie do mnie adwokat, przydzielony przez Kurie mecenas Stefan Kosiński. Na pierwszym widzeniu nie robił mi złudzeń, stwierdzając, że muszę się liczyć z pięcioletnim wyrokiem. Uważam, że ustawił mnie dobrze, gdyż oswajałem się ze świadomością dłuższej odsiadki. W tym czasie próbowali mnie jeszcze przesłuchiwać i coś ze mnie wyciągnąć. Prokurator zjawiał się średnio dwa razy w tygodniu. Na końcu tych przesłuchań doszło do konfrontacji z Krawczykiem. Obciążał mnie zarzutami takimi jak druk i kolportaż wydawnictw podziemnych, w czym nigdy nie uczestniczyłem. Większość z tego, o czym mówił, to była czysta konfabulacja. Nie wiedział natomiast rzeczy najważniejszej, że byłem jednym z członków ścisłego kierownictwa NZS. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczyłem. Na tym konfrontacja się zakończyła.

Wkrótce potem przedstawiono mi zarzuty: *Adam Kalita organizował Jarosławowi Krawczykowi kontakty z Pawłem Zechenterem i Ryszardem Małoseckim w celu uzyskania powielacza marki Rex Ratory 220 oraz niezbędnych do powielania materiałów, z Dorotą Koczwańską i Tomaszem Szewczykiem jako dostawcami matryc z naniesionymi tekstami do powielania stosownych publikacji, wskazywał miejsce przekazywania wydrukowanych ulotek o nadto dostarczył mu tekst sporządzonej przez siebie ulotki*<sup>4</sup>. Szczęśliwie dla mnie, zakończenie śledztwa przebiegało w atmosferze zbliżającej się drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Coraz częściej dochodziły pogłoski o tym, że jest prawdopodobna amnestia. Walka mojego obrońcy z prokuratorem dotyczyła teraz przede wszystkim wycofania zarzutu o kradzież mienia państwowego, bo takowe jako przestępstwo polspolite nie podlegało amnestii.

Na pewno nie był to dla mnie czas łatwy. W kwietniu planowaliśmy ślub z Dorotą. W chwili, gdy mnie aresztowano mieliśmy wydrukowane już zaproszenia. Perspektywa odsiadki kilku lat nie mogła napawać optymizmem, ale nie załamywa-

<sup>4</sup> Prokuratura Wojewódzka, Wydział Śledczy, Kraków, Akt Oskarżenia, II DS. 9/83, s. 11

łem się. Dorota nawet wymyśliła, abyśmy wzięli ślub w więzieniu, ale nie wyrażono na to zgody. Wiem, że po moim aresztowaniu bezpieka czyniła starania o skreślenie mnie z listy studentów, ale rektor Gierowski na to się nie zgodził.

Po zakończeniu śledztwa i po zapoznaniu się z materiałem prokuratorskim zostałem przeniesiony na górne piętro więzienia. Siedziałem w celi wyłącznie z więźniami kryminalnymi, w większości oskarżonymi lub skazanymi za drobne przestępstwa. Muszę stwierdzić jednoznacznie, że ich stosunek do mnie (nawet recydywistów) był jak najbardziej poprawny. Tam na piętrze udało mi się nawiązać kontakt z Tomkiem Szewczykiem, który przez pewien czas siedział w celi obok. Niekiedy wychodząc do biblioteki lub idąc po „wypiskę” mieliśmy okazję widzieć się. On, podobnie jak ja, do niczego się nie przyznał.

W naszej sprawie oskarżonych zostało 18 osób, z których tylko my dwaj zostaliśmy aresztowani. Pozostali odpowiadali z wolnej stopy. Zdążyła się odbyć tylko jedna rozprawa, w czasie której sąd zdążył jedynie odczytać nasze personalia i akt oskarżenia. Na początku było nawet dość śmiesznie, bo przygotowano bardzo małą salę, a tymczasem przyszło 200-300 osób, tak, że zaszła konieczność przeniesienia posiedzenia sądu do większego pomieszczenia. Do kolejnej rozprawy już nie doszło, bo w tzw. międzyczasie ogłoszono amnestię. Wypuszczono mnie z „Monte” 24 lipca, zresztą równocześnie z Tomkiem Szewczykiem. Już 30 lipca w Opolu odbył się nasz ślub z Dorotą.

Jesienią 1983 powróciłem na studia. Wkrótce potem urodziło nam się dziecko, dlatego aktywnej działalności konspiracyjnej już później nie prowadziłem, choć oczywiście zachowałem dawne kontakty, które potem już jako pracownik Biblioteki Jagiellońskiej zaowocowały współpracą z podziemnymi strukturami „Solidarności” oraz członkostwem w Krakowskim Towarzystwie Przemysłowym.

fekcyjnej znajomości rosyjskiego współpracował z Rosjanami. Dzięki jego kontaktom poznaliśmy wielu ludzi z emigracji rosyjskiej na Zachodzie, takich jak wspomniana już Irina Alberti, Natalia Gorbaniewska czy Aleksandr Ginzburg.

Gdzieś od 1983 r. byłem też koordynatorem na Europę Polskiej Fundacji Kulturalnej Polcul w Australii, która przyznawała mnóstwo nagród dla ludzi związanych z opozycją. Rocznie przez moje ręce przechodziło kilkadziesiąt tysięcy dolarów, byłem m. in. odpowiedzialny za przekazanie ich do kraju.

W tych kilku pierwszych latach ani przez moment nie myśleliśmy o pozostaniu na Zachodzie. Ludzie z naszej SKS-owskiej grupy wykazali się pod tym względem małą wyobraźnią. Być może należało iść śladem Roberta, zacząć studia i jakoś się ustawić w życiu. Jednak pracy bieżącej była taka masa, a jednocześnie panowała wśród nas taka opcja, że pozostanie za granicą na stałe byłoby czymś niedopuszczalnym. Inny sposób myślenia mieli ludzie, którzy przeżyli stan wojenny lub jego część w kraju, tacy jak Robert Kaczmarek, Boguś Sonik, Lilka Batko czy Jarek Zadencki. Oni na wyjazd decydowali się mniej lub bardziej świadomie, z intencją pozostania przynajmniej przez kilka lat na Zachodzie. Zdążyli pozamykać swoje sprawy w Polsce i wyjechać. O naszym pozostaniu tam zdecydował kto inny. Długo czuliśmy się jak na przedłużonych wakacjach. Po kilku latach wszystko zaczęło „siadać” Wypalał się dawny entuzjazm. Zresztą dotyczyło to zarówno emigracji, jak i kraju. W którymś momencie trudno było funkcjonować bez dokumentów i żyć w stanie permanentnego zawieszenia. Starania o azyl podjęliśmy późno i nie wszyscy. Przy czym wówczas nikt jeszcze nie przeczuwał, że sprawy potoczą się bardzo szybko. W kraju panowała głęboka komuna i wydawało się, że stan ten będzie trwać wiecznie. Wówczas nie wyobrażaliśmy sobie, że możemy do Polski wrócić. Rok 1989 zmienił wszystko, spora część wspomnianych tu osób wróciła do kraju.

Ja po raz pierwszy do Polski przyjechałem w 1991 r., po prawie 11 latach.

## Teresa Starmach

Teresa Starmach (16 X 1949), magister elektrotechniki, nauczycielka w XV Liceum Ogólnokształcącym (1976-1991), członek Komisji Zakładowej NSZZ „S” (od 1980), działaczka konspiracyjnych struktur podziemnej „S” Region Małopolska (1981-1989), łączniczka Krajowej i Regionalnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, sekretarz Zarządu Regionu Małopolska, przewodnicząca KZ NSZZ „S” Pracowników Oświaty Kraków-Podgórze (1991-1998), wiceprezydent Krakowa (1998-2001).

**P**ochodzę z krakowskiej rodziny, od kilku pokoleń zakorzenionej w tym mieście. Kształtowała mnie tradycyjna, patriotyczna atmosfera domu. W dzieciństwie szczególnie wpływ na moje wychowanie miał ojciec, który w czasach komunistycznego zakłamania uczył mnie i młodszego brata Andrzeja prawdziwej historii. Od 1967 r. uczestniczyłam w spotkaniach w Duszpasterstwie Akademickim u dominikanów, popularnie nazywanym „Beczka” Tam poznałam wspaniałe osoby, zarówno duchowne jak i świeckie, które wywarły istotny wpływ na moją postawę i poglądy. „Beczka” odegrała ważną rolę w moim rozwoju duchowym, ale także kształtowaniu świadomości społeczno-politycznej. W wydarzeniach marca 1968 r. bezpośrednio nie uczestniczyłam, bo parę tygodni wcześniej złamałam nogę jeżdżąc w górach na nartach.

W połowie lat siedemdziesiątych podjęłam pracę w XV LO jako nauczycielka fizyki. Co prawda wyszłam już z Duszpasterstwa, ale miałam kontakt ze środowiskiem „Beczki” poprzez mojego brata. Dzięki niemu poznałam m. in. Lilkę Batko, Bogusława Sonika i Janusza Kotarbę. W maju 1977 r. uczestniczyłam wraz z koleżankami z mojego Liceum w demonstracyjnej procesji, która wyszła z kościoła Dominikanów w proteście przeciwko zamordowaniu Staszka Pyjasa. Organizował ją, nie wiem czy to ktoś pamięta, Janusz Kotarba. Ówczesna moja działalność ograniczała się głównie do finansowego wspierania różnych inicjatyw kolarskich i środowiska Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS). Byłam stałym odbiorcą wydawnictw drugiego obiegu, które otrzymywałam przede wszystkim od mojej przyjaciółki, pracującej w wydawnictwie „Znak” Ona dostarczała mi „Kulturę”, książki emigracyjne i wydawnictwa niezależne.

Schyłek lat 70. był dla mnie dość przygnębiający. Przyznam się, że nosiłam się nawet z myślą odejścia ze szkoły. Czułam, że nie mam w niej już nic do zrobienia. Brak satysfakcji zawodowej, o stronie finansowej nie wspominając, przy równoczesnych naciskach na wstąpienie do partii sprawiły, że pracy tej miałam już serdecznie dość. Myślałam nawet o założeniu własnej firmy, co byłoby wpisaniem się w tradycję mojej rodziny, której większość przedstawicieli nie pracowała nigdy na państwowym etacie. Podjęliśmy z koleżanką poszukiwania lokalu w Krakowie. Latem 1980 r. na krótko wyjechałam do Szwecji, gdzie dorabiałam na mój pierwszy samochód. Wróciłam na przełomie lipca i sierpnia. O strajkach na Wybrzeżu dowiedziałam się z RWE. Więcej szczegółów przywozili ludzie powracający z Gdańska. W pierwszych dniach września 1980 r. uaktywniło się również moje środowisko nauczycielskie. Zdecydowaliśmy z kolegami, że i u nas w szkole muszą powstać wolne związki zawodowe, jak się o nich wtedy mówiło. Jednym z najbardziej ak-

tywnych w naszym gronie był Jacek Szeremeta, postać obecnie trochę zapomniana. Zaczęliśmy szukać kontaktu z tworzącym się wówczas krakowskim MKZ. W pierwszych dniach września 1982 r. zgłosiliśmy swój akces do niezależnych związków zawodowych i zarejestrowaliśmy się w Instytucie Geologii PAN przy ul. Senackiej u Janka Środonia, znanego mi z Duszpasterstwa Akademickiego. Tam znajdował się jeden z tymczasowych punktów rejestracyjnych na terenie Krakowa.

Wkrótce te wolne związki zaczęły powstawać niemal w każdej krakowskiej szkole. Doszliśmy do wniosku, że trzeba nawiązać z nimi kontakt. Nie pamiętam już z czyjej inicjatywy, być może Barbary Billik z IV LO przy ul. Zamojskiego, doszło do pierwszych spotkań przedstawicieli różnych szkół na terenie tegoż Liceum. Uczestniczyli w nich nie tylko delegaci szkół z naszej dzielnicy Podgórze, ale i Śródmieścia. Postanowiliśmy zrobić coś, co by nas identyfikowało jako nauczycieli-członków wolnych związków zawodowych i zamówiliśmy mszę świętą z okazji Dnia Nauczyciela u Dominikanów. Pamiętam, że osobiście wykonałam plakat informujący o tej uroczystości. W Kurii przy ul. Kanoniczej ksiądz (wtedy jeszcze nie infułat) Stanisław Małyśiak skierował go dla nas w dużej ilości. Mając już kupiony miesiąc wcześniej samochód objeżdżałam z koleżankami szkoły i go w nich wywieszałyśmy. Sama uroczystość przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania. U Dominikanów zjawilo się mnóstwo nauczycieli z kwiatami, które tego dnia otrzymali od uczniów. Księża powiedzieli nam, że w życiu nie widzieli w kościele tylu kwiatów. Wtedy wpadliśmy na pomysł, aby powołać Duszpasterstwo Nauczycieli. Temat podjął Andrzej Kłoczowski i organizował dla nas spotkania z osobistościami życia politycznego, społecznego, kulturalnego, które odbywały się regularnie do samego stanu wojennego, a nawet i w stanie wojennym. Równolegle powstało Duszpasterstwo Nauczycieli nowohuckich „Ostoja”, które przetrwało do naszych czasów. Opiekę nad nimi sprawowali cystersi.

Na jednym ze spotkań w IV LO, gdzie byli obecni nie tylko nauczyciele szkół Podgórze, ale całego Krakowa, pojawił się problem uczenia młodzieży prawdziwej historii narodu, budzenia patriotyzmu i uczenia odpowiedzialności za kraj. W pewnym momencie wstała młoda nauczycielka, która w dramatycznym wystąpieniu stwierdziła, że jest absolwentką Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczycielką historii, ale ona sama nie wie jaka jest ta prawdziwa historia, którą powinna przekazywać uczniom. Wtedy powstała inicjatywa cyklu wykładów historii najnowszej dla nauczycieli, nie tylko historyków i polonistów. Na tym spotkaniu zrodził się także pomysł, aby nauką historii objąć również uczniów zasadniczych szkół zawodowych. Świadczyło to dobitnie o tym, że rodząca się nauczycielska „Solidarność” nie była zwykłym związkiem zawodowym, ale również czymś więcej, pewnym ruchem społecznym.

Na nasze spotkania w IV LO przychodziło coraz więcej nauczycieli z różnych dzielnic i rejonów Krakowa, tak, iż wkrótce zaszła konieczność rozdzielenia się i organizowania ich na poziomie dzielnic. I tak powstały „Solidarność” nauczycielska Podgórze, Śródmieścia, Krowodrzy i Nowej Huty. Ja oczywiście funkcjonowałam w ramach podgórskiej „S” Z chwilą, gdy narodziła się jej struktura dzielnicowa,

pełniłam w niej funkcję zastępcy przewodniczącego Komisji Zakładowej Pracowników Oświaty Kraków-Podgórze NSZZ „Solidarność” Przewodniczącym został Bolesław Sułkowski, który niestety w stanie wojennym oświadczył, że nie chce mieć nic wspólnego z „Solidarnością” i złożył rezygnację. Przewodniczącymi pozostałych struktur dzielnicowych byli, jak pamiętam: w Śródmieściu – Stefan Kubowicz, w Nowe Hucie – Wiesław Kowalski. W tamtym okresie w większości szkół Krakowa liczba nauczycieli członków NSZZ „S” przekraczała 90 procent. Szybko powstały struktury łączności i powiązań z zakładami pracy w ramach systemu ABC.

Niezależnie od tego byliśmy włączeni w pracę struktur oświaty na szczeblu krajowym. Jeździliśmy wielokrotnie do Gdańska na spotkania poświęcone problemom edukacji. Uczestniczyliśmy w ogłaszanych przez „krajówkę” akcjach protestacyjnych. Oprócz protestów ogólnospołecznych, braliśmy udział między innymi w strajkach o podwyżki płac pracowników oświaty. Doprowadziliśmy do obniżenia pensum godzin pracy nauczyciela z 22 do 18. Jednak najwięcej energii i czasu poświęciliśmy na prace związane z reformą szkolnictwa. Z polecenia struktur krajowych zostałam (zupełnie nie wiem dlaczego, bo nie miałam żadnych w tym zakresie doświadczeń) koordynatorem grupy odpowiedzialnej za przedszkola. Współpracowałam w niej z oddanymi ludźmi, z p. Domalewską i Czesławą Łach. Obie na początku grudnia 1981 r. wyjechały na szkolenie do Francji i tam zastał je stan wojenny. Wróciły jednak do kraju zaraz, jak to tylko było możliwe. W związku z moją pracą w sekcji odpowiedzialnej za przedszkola byłam nawet w stanie wojennym zaproszona na jakieś rozmowy konsultacyjne do MEN w Warszawie. Nie dostałam jednak zgody kuratorium.

Kiedy zaczęły się tworzyć formalne struktury Związku, zostałam wybrana na delegata do Zarządu Regionu. Zebrania wyborcze odbywały się w „Armaturze” Każdego z kandydatów przesłuchiowano bardzo długo i szczegółowo. Nastroje, zwłaszcza wśród robotników, były już bardzo napięte, cięto bezwzględnie członków PZPR. W czasie mojego przesłuchania, gdy padło sakramentalne pytanie o przynależność, ktoś z sali wiedząc, że jestem nauczycielką, krzyknął, że pewnie byłam w partii. Ja oczywiście zaprzeczyłam. W tym momencie wstał działacz „S” z „Telpodu”, postać obecnie zapomniana, Jasiak Szwabowski, i powiedział „na pewno nie była członkiem partii, bo ojciec by jej nie pozwolił” Okazało się, że był dobrym kolegą mego Taty. Potem przyszły głosowania i zostałam członkiem ZR. Byłam nim nieprzerwanie do 1989 r., bo my nie uznaliśmy rozwiązania Związku w stanie wojennym. Z mojej dzielnicy weszła do władz Regionu jeszcze Barbara Bilik. Do władz krajowych nie zdecydowałam się kandydować, ponieważ zjazd krajowy pokrywał się z terminem matur. Uznałam (i myślę, że słusznie) iż to moi uczniowie są ważniejsi.

W Zarządzie małopolskiej „Solidarności” znalazło się bardzo wielu ludzi wywodzących się ze środowiska Duszpasterstwa u Dominikanów. Byli w nim m. in. Bogusław Sonik, Tomasz Schoen, Stefan Kubowicz, Paweł Miśkowiec.

Przed samym stanem wojennym atmosfera w Zarządzie Regionu była już bardzo napięta. Przypominam sobie takie jego posiedzenie, na którym mówiono m. in. jak bardzo jesteśmy inwigilowani. Mieliśmy świadomość, że druga strona wie o nas

prawie wszystko. Doskonale pamiętam wystąpienie Roberta Kaczmarka, który stwierdził wtedy (zebranie odbywało się w siedzibie ZR przy Al. Krasińskiego): „wszystko, co tutaj mówicie, wiedzą po drugiej stronie Alej, gdyż oni mają odpowiednie środki techniczne” Ta jego wypowiedź wywołała spory niepokój. Czując nadchodzące zagrożenie przystąpiliśmy, niestety dość późno, do budowy struktur alternatywnych. W naszym środowisku nauczycielskim na tę sprawę największą uwagę zwracał Wiesiek Kowalski. Sporo od nas starszy, zdążył jako młody chłopiec znaleźć się w czasie wojny w strukturach akowskich. On szczególnie nas uczył na pewne sprawy, podkreślając konieczność stworzenia systemu ostrzegawczego (alarmowego) i wypracowania struktur konspiracyjnych na wszelki wypadek.

Muszę się przyznać, patrząc z perspektywy tych prawie dwudziestu pięciu lat, że miałam wtedy za dużą wiarę w siłę „Solidarności” Nie wyobrażałam sobie, aby komuniści mogli nas pokonać. Panowało ogólne przekonanie o naszej sile. Nawet na poziomie ZR panowała bardzo duża pewność siebie. Teraz wielu twierdzi, że wiedzieli, że przeczuwali, że to tak się skończy, ale to nieprawda. Może jeden Pinior miał tę intuicję, która kazała mu wyprowadzić pieniądze związkowe z banku i ukryć.

Ja tuż przed 13 grudnia 1981 r. miałam ciekawą rozmowę z dyrektorką mojego Liceum, osobą partyjną, później działaczką PRON-u. Powiedziała do mnie tak: „Teresa, czy możesz zrezygnować z działalności w „Solidarności?” Odpowiedziałam, że nie mam takiego zamiaru, że mi to odpowiada. A ona na to, że „chyba się za bardzo zaangażowałaś” I w zasadzie tylko tyle. Wtedy to zbagatelizowałam, uznając, że co najwyżej mam „przechlapane” w szkole, tym bardziej, że już od września 1981 r. pracowałam w niej na pół etatu z powodu pracy w ZR. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że ona mogła mieć jakieś przecieki i chciała mnie ostrzec.

12 grudnia (w sobotę) byłam na imieninach u przyjaciółki Łucji Hopkowiiczowej przy ul. Imbramowskiej. (Jej matka, p. Kosińska, przechowywała dokumenty Władysława Hardka). Wracalam z bratem już po północy ul. Opolską do naszego domu przy ul. Królowej Jadwigi. Na rondzie Radzikowskiego była stacja benzynowa, w której chciałam zatankować, gdyż bak był niemal pusty. Stało tam jednak kilka samochodów, a ponieważ bratu się spieszyło, pojechaliśmy prosto do domu na ul. Królowej Jadwigi. Jechaliśmy przez opustoszałe miasto, nie dostrzegając nic szczególnego. Rano około godz. 5 brat pojechał do Warszawy nieświadom tego, co się stało. Dopiero o 7 rano ktoś natarczywie zaczął dzwonić do furki naszego domu. Był to Wiesiek Kowalski, który wbiegł do mieszkania każąc mi się ubierać i natychmiast wynosić. Powiedział tylko żeby nie wdawała się w żadne dyskusje i szybko pakowała. Dodał, że cieszy się że mnie widzi, bo wszyscy zostali aresztowani. Puściliśmy radio i dowiedzieliśmy się, że w kraju wprowadzono stan wojenny. Zabrałam ze sobą śpiwór i jakieś artykuły żywnościowe. Matka była przerażona, dopiero co syn wyjechał, a teraz córka musi uciekać. Nie było czasu nic tłumaczyć. Zdecydowałam się jechać do koleżanki, mieszkającej na os. Widok. Pożegnałam matkę i wsiadłam w samochód. Żałowałam teraz bardzo, że wczoraj

posłuchałam brata i nie zatankowałam. Na szczęście do stacji benzynowej przy ul. Koniewa (obecnie Armii Krajowej) było blisko. Na ulicach dalej panował spokój. Stacja była otwarta, ale pracownicy oświadczyli mi, że wprowadzono zakaz tankowania. Gdy przedstawiłam się, mówiąc że jestem członkiem Zarządu Regionu, włali mi pełny bak i jeszcze dali kanister benzyny. To mi pomogło w bardzo wielu sprawach na okres kilku tygodni. Ulokowałam się u koleżanki w bloku przy ul. Koniewa.

Było jeszcze wcześniej rano i nie bardzo wiedziałam co robić. Zdecydowałam się pojechać pod lokal Zarządu Regionu przy Al. Krasińskiego, aby zobaczyć co się dzieje. Mijając go widziałam stojące przed budynkiem wozy milicyjne i dużo porozrzucanych papierów. Poza tym nic szczególnego się nie działo. Stamtąd pojechałam do kościoła Dominikanów na mszę o godz. 9, którą odprawiał Andrzej Kłoczowski. Po mszy zebraliśmy się w kapitularku. Z osób, które pamiętam, był tam Stefan Kubowicz (też z ZR). Dołączali do nas ludzie z informacjami o aresztowanych. Andrzej Kłoczowski postanowił, abyśmy spisywali dane tych ludzi. Nie pamiętam już kto konkretnie spisywał i ile na początku było tych nazwisk. Sam Andrzej już następnego dnia został zatrzymany na kilka dni. Jeśli chodzi o członków Zarządu Regionu, zauważyliśmy pewną prawidłowość, że zostali internowani przede wszystkim ci, którzy tworzyli MKZ i należeli do pierwszego „starego ZR” Nowo wybrani członkowie z lipca 1981 praktycznie uniknęli zatrzymań w tym okresie. To wyraźnie wskazywało na to, że listy osób przeznaczonych do internowania sporządzano wiosną 1981 r. Stamtąd udałam się na Uniwersytet, który był oflagowany. Nie chciano mnie wpuścić, ale wylegitymowałam się jako członek ZR i dostałam się do Wieśka Zabłockiego. Wiesiek poinformował mnie, że przy Grodzkiej (w budynku Collegium Iuridicum?) odbędzie się spotkanie tych działaczy, którzy uniknęli aresztowania. Wieczorem przybyło tam sporo znajomych osób. Budynek był zupełnie wyciemniony. Ktoś w tych ciemnościach, nie pamiętam już kto, powiedział, że musimy opuścić to miejsce i przenieść się do Collegium Novum, bo budynek jest namierzony przez SB. Wychodziliśmy pojedynczo, od tyłu przez okno od strony ul. Kanoniczej. W Collegium Novum zebraliśmy się w jednej z sal. Tam nastąpiła wymiana informacji. Nasza lista aresztowanych znacznie się wydłużyła. Wiedzieliśmy już, że Huta im. Lenina strajkuje. Na koniec umówiliśmy się na spotkanie na następny dzień, tj. 14 grudnia.

Przybyli na nie przedstawiciele z różnych instytucji i zakładów pracy. Zebranie prowadzili Tadeusz Piekarcz z Józefem Lassotą. Od delegatów usłyszeliśmy pierwsze relacje o sytuacji panującej w ich miejscach pracy. Z informacji tych wynikało, że niemal wszędzie doszło do protestów lub strajków. Docierały też do nas informacje, podawane nie wiem przez kogo, o przygotowaniach do pacyfikacji, do których, jak przewidywano, może dojść nocą. Dyskutowano jak należy się na taką ewentualność przygotować. Przeważała opinia, że w momencie wkroczenia jednostek milicyjnych nie należy stawiać oporu. Wyraźnie podkreślano, że trzeba unikać ofiar. Uzgodniono również, aby z protestów wyłączyć szkoły.

Pierwsze dni stanu wojennego to było szukanie i nawiązywanie kontaktów. Ponieważ telefony nie działały, bardzo przydatny okazał się mój samochód. My,

przedstawiciele komisji zakładowych placówek oświatowych, spotkaliśmy się na pierwszym konspiracyjnym zebraniu w kościele Karmelitów, chyba 15 grudnia. Może się to wydać śmieszne, ale nie wiedzieliśmy, czy i w jakim stopniu jesteśmy namierzeni przez bezpiekę. Miejsce to, uznane za bezpieczne, jak mi się wydaje wybrał Wiesiek Kowalski. Siedzieliśmy w ławkach udając modlących się, a równocześnie przekazując sobie informacje o sytuacji. Dotarły już do nas wiadomości o pierwszych aresztowaniach po pacyfikacjach zakładów pracy. Postanowiliśmy, że ktoś z naszego nauczycielskiego grona musi się udać do Kurii Metropolitalnej, aby prosić kardynała Macharskiego o interwencję w sprawie aresztowanych. Wydelegowano mnie, gdyż byłam członkiem ZR. Nie udało mi się, co prawda, dostać do księdza kardynała, ale przyjął mnie ksiądz kanclerz Bronisław Fidelus. Przedstawiłam mu naszą ocenę sytuacji, zwracając uwagę na brutalność milicji i drakońskie wyroki (nie wyłączając kary śmierci), jakie groziły zatrzymanym. Mówiłam mu o tym niesłychanie podekscytowana, bo informacje, które spływały wtedy do nas wyglądały bardzo groźnie, a było to jeszcze przed pacyfikacją HiL. Ksiądz kanclerz wysłuchał tego ze stoickim spokojem, po czym powiedział, że w jego ocenie tak źle nie będzie, żebyśmy się nie obawiali, bo wyroki śmierci na pewno nie zapadną, że ksiądz kardynał czuwa. Jednym słowem sprowadził rzecz do właściwych proporcji.

Pamiętam, że bardzo wstrząsnęła nami wiadomość o pacyfikacji Huty 16 XII 1981. Sama byłam zaangażowana w organizowanie pomocy dla strajkujących. Naszym łącznikiem z kombinatem był Stefan Kubowicz, który dowoził tam żywność i zaopatrzenie. Został nawet złapany jak wracał z Huty, ale po krótkim przesłuchaniu wypuszczono go. Pamiętam, że w grudniu 1981 r. spotykaliśmy się u Karmelitów niemal codziennie. Jeśli chodzi o początki budowy struktur w ramach pionu oświaty, to niewątpliwie największe zasługi miał Wiesiek Kowalski. To on, z racji swoich wcześniejszych doświadczeń, uczył nas zasad konspiracji. We wzajemnych kontaktach postanowiliśmy używać pseudonimów. Ja przyjął pseudonim „Agnieszka”, którym posługiwałam się przez cały okres stanu wojennego. Pseudonimów innych już nie pamiętam, bo byli to w większości moi przyjaciele i znajomi, więc myśląc o nich posługiwałam się ich prawdziwymi imionami.

16 grudnia po pacyfikacji Huty wróciłam do domu koleżanki i pamiętam, że zaczęłam strasznie płakać. W moim odczuciu wszystko się zawaliło, znikąd nie było nadziei, nie miałam pomysłu, co teraz z sobą zrobić. Koleżanka próbowała mnie pocieszać, ale cóż ona mi mogła powiedzieć. Zresztą jej sytuacja była podwójnie trudna, bo była z maleńkim dzieckiem, a jej mąż był na kontrakcie w Libii. Był to jedyny taki moment, kiedy miałam chwilę załamania. Postanowiłam jednak wziąć się w garść i zająć pomocą osobom internowanym i aresztowanym. Pomógł mi nieco przypadek, gdyż 13 grudnia wróciła do kraju ze stypendium w Louvain moja przyjaciółka Irena (Inka) Felska ze swoim przyjacielem Cloudem Pirre, Belgiem. On zaraz wyjechał z powrotem i natychmiast zorganizował tam transport z pomocą. Przed wyjazdem zabrał od nas informacje, które przekazał za granicę. Do świąt Bożego Narodzenia nie wydarzyło się nic szczególnego. Poza tym, że szybko zostali wypuszczeni Andrzej Kłoczowski, a tuż przed Wigilią Baśka Billik, z którą się spotkałam.

Na początku stycznia 1982 r. wróciłam do pracy w szkole. Nie był to powrót przyjemny. Zaczęło się sprawdzanie. Wręczono mi dokument, w którym komisarz wojskowy informował mnie, że nie jestem już oddelegowana do pracy związkowej i wracam do szkoły na pełny etat. Otrzymałam też opinię sporządzoną przez dyrekcję na temat mojej pracy, którą należało podpisać. Ze zdziwieniem przeczytałam, że jestem złym nauczycielem, mimo, że w październiku 1981 r. dostałam ministerialną nagrodę za całokształt pracy. Oczywiście odmówiłam podpisania. Po jakimś czasie dyrektorka złożyła mi nową opinię, którą już mogłam spokojnie podpisać. Byłam wtedy wychowawczynią 2 klasy LO i nauczycielką fizyki. Młodzież przyjęła mnie wspaniale. Część moich uczniów garnęła się do pracy konspiracyjnej, ja oczywiście starałam się im to wyperswadować. W rok później kilku z nich zostało zatrzymanych przez SB, ale dyrekcji szkoły udało się ich jakoś z tego wyciągnąć, bez konieczności relegowania. Już dużo później dowiedziałam się, że dyrekcja szkoły była wielokrotnie indagowana w mojej sprawie przez SB. Sprawdzali szczególnie kiedy jestem w pracy i czy nie opuszczam zajęć, zwłaszcza w dni, w których coś się działo. Ja od początku przyjąłam sobie za punkt honoru, aby nigdy moi uczniowie i szkolne obowiązki nie ucierpiały z racji mojego zaangażowania w działalność podziemną.

Pierwszą rozmowę na temat wznowienia pracy Komisji Zakładowej „S” i organizowania struktur w naszej dzielnicy przeprowadziłam z przewodniczącym Sułkowskim, którego byłam zastępcą, na początku stycznia. Spytałam go wprost, czy zamierza kontynuować działalność i włączyć się w pracę podziemną. Odpowiedział zdecydowanie, że – nie. Potem na przełomie stycznia i lutego rozmawiałam jeszcze z pozostałymi członkami KZ, ale tylko część z nich była skłonna się dalej angażować. Byli to Krystyna Stefanowska ze SP nr 61, Maria Żegocka (Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2 przy ul. Zamojskiego), Jan Cichowski z Zespołu Szkół Elektrycznych nr 1 przy ul. Kamińskiego oraz śp. Janina Waśko, nauczycielka historii w Zespole Szkół Mechanicznych nr 2 przy ul. Skrzyneckiego. Ludzie ci stanowili trzon odbudowanej struktury. Uznaliśmy, że nie ma sensu dokooptowywać nowych członków. Postanowiliśmy nawiązać kontakty z innymi szkołami. Ja objęłam kierownictwo całości, Cichowski zajął się finansami, a koleżanki zajęły się innymi sprawami organizacyjnymi. Na spotkania zapraszaliśmy czasami przewodniczących KZ z poszczególnych szkół, gdzie takie komisje działały. Początkowo ograniczało się to do zbierania składek, wymiany wiadomości i ewentualnie jakichś gazetek. Oczywiście ściąganie składek różnie wyglądało w różnych szkołach.

Na poziomie struktury dzielnicowej pracowników oświaty od początku staraliśmy się zachować dużą samodzielność, a kontakty z innymi dzielnicowymi strukturami teje oświaty odbywały się na szczeblu przewodniczących i miały głównie charakter wymiany informacji. O szerszej koordynacji działań wtedy jeszcze nie myśleliśmy. Najczęściej spotykaliśmy się u Wiesława Kowalskiego przy ul. Kochanowskiego. Pierwszą rzeczą była pomoc dzieciom, których rodzice byli represjonowani. Staraliśmy się z tym wyjść poza Kraków i objąć pomocą mło-



dzień z całego Regionu Małopolska. Kontakty z tymi rodzinami koordynowała Wanda Żychowska. Jako nauczyciele postanowiliśmy się wówczas włączyć w organizowane przez szkoły imprezy okolicznościowe, w rodzaju 1 i 3 Maja. Chcieliśmy, aby one się odbywały na w miarę przyzwoitym poziomie.

W trakcie jednego ze spotkań u Wieska Kowalskiego dowiedziałam się, że ich nowohucka struktura ma kontakt i współpracuje z osobami ukrywającymi się i że im również potrzebna jest w różnej formie pomoc materialna. Nie precyzowano wtedy bliżej na czym miała by ona polegać. Ja w tym czasie, za poręczeniem Inki Felskiej zatrudnionej w „Znaku”, zaczęłam pracować w wydziale charytatywnym u księdza Wala przy rozdziale darów. Skontaktowała się ze mną Joanna Więclaw, mówiąc, że osoby ukrywające się otrzymują pomoc, ale jest ona bardzo skąpa. Powiedziała, że ma bezpośrednie kontakty z Władysławem Hardkiem, którego znała bardzo dobrze, gdyż mieszkali w jednym bloku. W tym najtrudniejszym, pierwszym okresie jego ukrywania, Joanna należała do najbardziej zaufanych osób. Aby być całkowicie do dyspozycji Hardka, wzięła nawet roczny urlop, rzekomo dla poratowania zdrowia. W rozmowie ze mną Joanna zapytała czy możliwe było by przekazanie na Święta Wielkanocne jakiejś paczki żywnościowej dla dzieci Władka. Za zgodą księdza Wala pomogłam jej to załatwić. Tak poprzez Joannę zaczęły się moje pośrednie kontakty z Władysławem Hardkiem, którego wcześniej znałam dość słabo z okresu pracy w ZR. Przez kilka miesięcy starałam się za jej pośrednictwem dostarczać jemu lub jego rodzinie różne rzeczy. Jesienią 1982 r. dowiedziałam się, że chce on nawiązać bezpośredni kontakt z komitetem charytatywnym, od którego gotów był przyjmować pomoc. Konieczne jednak były pewne uzgodnienia w tym zakresie, gdyż on często zmieniał mieszkania, a trudno żeby za każdym razem zabierał ze sobą otrzymaną żywność i przynosił w inne miejsce. W tej sprawie rozmawiałam z Wiesławem Zabłockim i nagle okazało się, że do komitetu już od dłuższego czasu zgłaszają się po pomoc różne osoby, powołując się na bezpośredni kontakt z Hardkiem. Przekazałam tę informację Joannie, a po jakimś czasie dowiedziałam się od niej, że Wladek chce się ze mną widzieć. Spotkaliśmy się w jakimś nieznanym mi mieszkaniu na osiedlu Na Lotnisku. Przekazałam mu wówczas informacje, o które prosił, głównie o sytuacji w naszych strukturach podgórskiej „Solidarności”. Opowiedziałam mu również o sytuacji w komitecie charytatywnym, do którego zgłaszają się różni ludzie, powołując się na niego. Wladek się wściekł i zdecydował się dać mi dokument, który by mnie upoważniał do występowania przed komitetem w jego imieniu. Ten dokument był dość ciekawy, bo było nim jakieś oświadczenie, podpisane przez wszystkie ukrywające się osoby z kierownictwa TKK, m. in. przez niego, Władysława Frasyńniuka i Zbigniewa Bujaka. Przyszłam z tym dokumentem do Kurii, gdzie nie bez pewnych zastrzeżeń uznano jego wiarygodność. Aby już całkiem rozwiązać wątpliwości komitetu zawiozłam Wieska Zabłockiego na spotkanie z Hardkiem.

Od tego czasu rozpoczęła się moja systematyczna współpraca z Hardkiem. Przejęłam wtedy większość zadań Joanny, a dysponując własnym samochodem, byłam dla niego osobą bardziej użyteczną. Kontakty nasze, między listopadem 1982 a sierpniem 1983, były niemal codzienne. W jakimś sensie stałam się najważniejszą z jego łączniczek,

przewożąc korespondencję, organizując spotkania, załatwiając kolejne lokale, zapopatrując go w żywność i załatwiając szereg spraw. Nie widywaliśmy się jedynie w okresach, gdy Wladek wyjeżdżał poza miasto. W ciągu wspomnianych 10 miesięcy naszej współpracy na terenie Krakowa doszło do kilkunastu spotkań TKK. Czasami sposób konspiracji, ukrywania się Hardka czy podejmowane przez niego decyzje z punktu widzenia postronnego obserwatora mogły się wydawać nielogiczne, nieprzemyślane i niesłychanie ryzykowne, a jednak okazywały się trafne i skuteczne<sup>1</sup>

Jesienią 1982 r. poznałam bliżej Jurka Zdradę, który był doradcą merytorycznym RKW. Znalazłam się wtedy bardzo blisko podziemnego kierownictwa Małopolskiej „S”, co wynikało nie tylko z faktu, iż byłam łączniczką Hardka, ale również członkiem ZR.

Moje pierwsze poważniejsze zadanie, polegające na odebraniu kogoś ważnego w strukturach podziemia, miało miejsce na osiedlu Stalowym w październiku 1982. Przybyłam pod podany adres, drzwi otworzyła mi starsza pani, którą widziałam pierwszy raz w życiu. Ona na wstępie oświadczyła po cichu: „Proszę panią, nie wiem dlaczego, ale nie przyjechał ten co zawsze. Tamtego to ja znałam, to był Frasyńniuk, tego zaś nie, on zna jednak hasło”. Przez moment nie bardzo wiedziałam co zrobić. Ale podane hasło rzeczywiście się zgadzało. Wszystko zresztą szybko się wyjaśniło. Owym nieznanym był Piotr Bednarz, który przejął kierownictwo dolnośląskiej „S” po aresztowaniu Frasyńniuka. Zawiozłam go moim „maluchem” na spotkanie z Hardkiem, choć nie bardzo pamiętam teraz, gdzie to było.

Tego lub następnego dnia odbierałam Józefa Pinióra. Łączy się z tym dość zabawna historia. Ponieważ go nie znałam, Hardek opisał mi jak on będzie wyglądać. Według niego miał być ubrany w długi, ciemny płaszcz, z białym szalikiem przerzuconym przez ramię, z czapeczką (mycką) na głowie. Na miejsce spotkania wybrano przystanek tramwajowy *vis à vis* domu handlowego „Hermes” przy al. Pokoju. Gdy tam podjechałam ani przez moment nie miałam problemu, aby go rozpoznać. W szarym tłumie ludzi na ulicy gość tak rzucał się w oczy, że nie sposób było go nie zapamiętać. Jak na konspiratora miał dość specyficzny sposób niezwracania na siebie uwagi. Podeszłam do niego, podałam umówione hasło i zabrałam go do swego samochodu. Trochę w związku z tym poutyskiwał, że w Gdańsku to go wożą mercedesami, a w Krakowie tylko maluchem.

Później spotykałam się z nim jeszcze wielokrotnie, miałam też okazję poznać jego sympatyczną narzeczoną, późniejszą żonę. Ona, ja i Maria Skupień zwana Maniuchą (koleżanka M. Bazarnik) jak gdyby stanowiłyśmy wtedy bezpośrednią obsługę TKK.

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba w listopadzie 1982 r. Hardek, który ukrywał się głównie na terenie Nowej Huty, przeniósł się w okolice Podgórze. Podobnie jak w Hucie jego bezpośrednie zaplecze, czyli łączników, kurierów, stanowili ludzie ze środowisk „Solidarności” nauczycielskiej. Tamtejsze struktury oświatowe przejęły wiele funkcji, ułatwiających mu poruszanie się i ukrywanie. Od stycznia 1983 r.

<sup>1</sup> Relacja M. Bazarnik dotycząca wyjazdu z Hardkiem do Wrocławia. Była m. in. w kryjówce Pinióra, w której został on później schwytyany przez SB.

jego główną kwaterą, jeśli tak można powiedzieć, stało się mieszkanie w bloku na Woli Duchackiej Wschód. Należało ono do jednej z członkiń struktury podgórskiej, nauczycielki historii w Szkole Podstawowej w Libertowie – Małgorzaty Bazarnik. Z Goską znaliśmy się jeszcze z czasów legalnej „Solidarności” Na moją prośbę zgodziła się udostępnić Hardkowi (choć początkowo nie wiedziała, kim on jest) swoje mieszkanie. Przekazała mu klucze, a sama przeprowadziła się do swoich rodziców. Wkrótce jednak Gośka dowiedziała się, kto zajmuje jej mieszkanie i stała się kolejną z jego łączniczek<sup>2</sup> To z jego inspiracji doszło do zacieśnienia współpracy struktur nauczycielskich ze środowiskiem lekarskiej „S”<sup>3</sup> Do dyspozycji Hardka był także lokal zajmowany przez koleżankę Gośki, Marię Skupień, która mieszkała w bloku naprzeciwko. Nie bez znaczenia był fakt, iż Gośka była posiadaczką „trabanta”, z którego w razie potrzeby mógł on skorzystać.

Ważną osobą, uczestniczącą w różnych ustaleniach, przez którą Władek miał kontakt z Gdańskiem (nawet samym Wałęsą), była Wanda Zacharewicz-Białowąs.

W trakcie mojej działalności przyjąłem zasadę, że o sprawach, które mnie bezpośrednio nie dotyczyły i nie były mi do niczego potrzebne, wołałem nie wiedzieć. Oczywiście przez moje bliskie związki z Hardkiem i tak znałam zbyt wiele spraw, które w przypadku wpadki czy zatrzymania przez SB mocno by mnie obciążały. Przez cały czas towarzyszył mi niepokój, jak się zachowam w trakcie ewentualnych przesłuchań. W tym względzie nie miałam żadnych doświadczeń. Dlatego za wszelką cenę starałam się wiedzieć jak najmniej. Dlatego, gdy pewne kontakty załatwiała Gośka lub Maniucha, ja się tym zupełnie nie interesowałam.

Do mnie należało m. in. organizowanie spotkań Władka z ludźmi, którzy wyszli z internatów lub opuścili więzienia. Inną działką było zabezpieczenie i organizacja od strony logistycznej zebrań TKK. Ja miałam sprawić, aby dojazd do miejsc, dogranie terminów, skoordynowanie wszystkiego odbyło się sprawnie i bez zakłóceń. Miejsce spotkań TKK z reguły wybierał Władek. W większości odbywały się one w Krakowie, ale nie tylko. Jedno z takich zamiejscowych zebrań „krajówki” utkwiło mi szczególnie w pamięci. Było to zimą, chyba w styczniu 1983 r. Nazwy miejscowości już nie pamiętam. Miejsce spotkania leżało gdzieś na trasie do Dobczyc. Nie wiem dlaczego, ale Hardek zdecydował, aby wszyscy uczestnicy jechali razem. Jechaliśmy dwoma samochodami. W moim obok mnie siedział Hardek, a z tyłu Szumiejko i chyba Pinior. W aucie Gośki Bazarnik ulokowali się Zbyszek Bujak, Bogdan Lis i ktoś jeszcze. Ja prowadziłam, a Władek mówił mi gdzie mam jechać. W pewnym momencie, gdzieś w okolicach Wieliczki, kazał mi skrócić w prawo, i nagle znaleźliśmy się pod komisariatem MO. Oczywiście pomyliły mu się kierunki. Szybko stamtąd odjechaliśmy, a potem on nas poprowadził jakimiś bocznymi, mocno zaśnieżonymi drogami. Jakby było mało atrakcji, w pewnej chwili

<sup>2</sup> Jeździła z nim m. in. na spotkanie z Piniorem do Wrocławia, gdzie przygotowywano spotkanie TKK z L. Wałęsą, a później do Gdańska, nie uczestnicząc jednak w samych rozmowach. Przebieg tego spotkania poznała z relacji Hardka.

<sup>3</sup> Informacja od M. Bazarnik. Wspólne zebrania obu środowisk odbywały się najczęściej w mieszkaniu prof. Zbigniewa Chłapa.

zepsuł się mój samochód. Szczęśliwie droga była pusta, a my staliśmy w szarym polu. Z aut wysiadła w komplecie cała Komisja Krajowa „Solidarności” Okazało się, że poza Hardkiem, który miał kiedyś „malucha”, nikt nie ma pojęcia o naprawie samochodów. Trwało to trochę, ale w końcu udało mu się jakoś uruchomić auto i dojechaliśmy w końcu na miejsce do stojącego na uboczu, w lesie, domu. Tam z Goską zostawiliśmy mężczyzn i wróciliśmy do Krakowa. Następnego dnia przyjechaliśmy tam ponownie, aby zabrać ich z powrotem. Wspominam o tym, trochę komicznie z dzisiejszej perspektywy wydarzeniu, bo niewiele brakowało, a całe kierownictwo podziemnej „Solidarności” mogło się znaleźć za kratkami, i nie wiadomo jak potoczyłyby się dalej losy Związku.

Z takich pozakrakowskich zebrań krajówki przypominam sobie dwa, jedno w okolicach Bukowiny (w nim nie brałam udziału). Zdecydowana większość z nich odbywała się w samym mieście, najczęściej w mieszkaniach w bloku, gdzie ukrywający się działacze czuli się zdecydowanie bardziej anonimowo, a przez to bezpiecznie. Chociaż spotkania TKK odbywały się nieregularnie, ich częstotliwość była duża, mniej więcej co sześć tygodni. W samych rozmowach oczywiście nie uczestniczyłam. Niejednokrotnie natomiast przechodziły przez moje ręce oświadczenia, sygnowane ich podpisami, które przekazywałam dalej do rozpowszechnienia. Pamiętam, że sporządzane na takich spotkaniach TKK dokumenty nigdy nie były zgodne z datą ich powstania. Z reguły datowane były z dwu- lub trzydniowym wyprzedzeniem. To była zasada obowiązująca od samego początku. Dokumenty TKK przekazywane były różnymi kanałami. Jeden z nich prowadził przez Seminarium Duchowne pod Wawelem, gdzie wykładał ksiądz, późniejszy biskup Józef Życiński. Osobiście odbierał je ode mnie i przekazywał dalej na Zachód. Był to jeden z najpoważniejszych kanałów, który nigdy nie odnotował wpadki.

Niezależnie od tego organizowałam Hardkowi spotkania z osobami, które chciały z nim rozmawiać, albo z którymi on szukał kontaktu. Wymagało to zawsze wynalezienia lokalu, jego sprawdzenia i dogrania różnych szczegółów, takich jak transport, hasła. Sporą grupę jego rozmówców stanowiły osoby, które wyszły z obozów internowania. Organizowałam mu również spotkania w mieszkaniach prywatnych z księżmi Józefem Tischnerem i Józefem Życińskim. Wielokrotnie pośredniczyłam w przekazywaniu korespondencji pomiędzy Hardkiem a jego doradcami (ekspertami). Wśród nich najczęstsze były kontakty z Jerzym Zdradą. W większości tych rozmów, które odbywały się w cztery oczy, ja nie uczestniczyłam. Brałam także udział w organizowaniu spotkań z komisjami zakładowymi. Miałam kontakt z Janem Ciesielskim, umawiając go z Hardkiem. Od zimy 1983 r. przeżywał on prawdziwy dramat, uważając, że jest niepotrzebny, izolowany, że Hardek go o niczym nie informuje, nie włącza, a wręcz ogranicza działalność, że jego dalsze ukrywanie się pozbawione jest sensu. Fakt, że nie pamiętam, aby Hardek kiedykolwiek zaprosił go na spotkania TKK. Ostatni raz widziałam się z Ciesielskim w mieszkaniu na os. Ugorek tuż przed Świętami Wielkanocnymi. Przywiozłam tam dla niego paczkę żywnościową. Wtedy dowiedziałam się od osoby u której mieszkał, że nosi się on z zamiarem wyjścia z konspiracji. On

sam to zresztą potwierdził. Starałam się go przekonać, aby tego nie robił, ale był już zdecydowany i w kilka dni później się ujawnił.

W czerwcu 1983 r. w okresie wizyty papieskiej nasiliła się inwigilacja Goški przez bezpiekę. Również ja zmuszona byłam mocno ograniczyć kontakty z Hardkiem. On wtedy szukał wyraźnie już wyjścia ze struktur, co związane było z kłopotami osobistymi. Jego narzeczona Hanka była w ciąży, dawała mu też sygnały że jest szykanowana przez SB. Hardek nie bardzo wiedział co z tym fantem robić<sup>4</sup>. Już od Świąt Wielkanocnych był w bardzo złej kondycji psychicznej. Praktycznie nie opuszczał domu, nie wpuszczał też nikogo do mieszkania<sup>5</sup>. Największy niepokój współpracujących z nim ludzi wywoływała jego niepunktualność, nieprzychodzenie na umówione spotkania. Między innymi w okolicy Świąt nie przyszedł na zorganizowane przeze mnie spotkanie z księdzem Życińskim. Z wielu przyczyn było to bardzo trudne. Kiedy już wszystko było dopięte na ostatni guzik, on się nie zjawił w umówionym miejscu. Zmuszona byłam później przeproszać księdza Życińskiego.

<sup>4</sup> Kilkakrotnie udało się doprowadzić do jego spotkania z dziećmi z pierwszego małżeństwa.

<sup>5</sup> Według relacji M. Bazarnek, która 28 czerwca 1983 r. wiozła go na spotkanie na os. Azory, czuł się już inwigilowany. Zresztą ona także odniosła wrażenie, że byli wówczas śledzeni przez dwa samochody. Zdecydowali się opuścić Azory i pojechali do Nowej Huty. Krążyli dłuższy czas po dzielnicy, gdzie jemu udało się wyskoczyć i zniknąć. Z żadnego z śledzących ich aut nikt nie próbował go ściągać. Było to dziwne, bo oboje byli przekonani, że SB jeździ za Hardkiem. Najprawdopodobniej go nie poznali, bo przez ucharakteryzowanie był bardzo zmieniony. M. Bazarnek zdecydowała się jechać do koleżanki do Mistrzejowic. Śledzące ich samochody podążyły za nią. Udało jej się dotrzeć do mieszkania koleżanki, ale jadące za nią samochody zatrzymały się pod blokiem. Z tego bloku wieczorem wydostała się w przebraniu i przedostała do kościoła w Mistrzejowicach, gdzie pracował pomagający jej od dawna ksiądz Andrzej Radziszowski (przyjaciel ks. Jancarza). Stamtąd ksiądz Radziszowski przewiózł ją swoim autem do Marii Skupień na ulicę Włoską. Od niej dowiedziała się, że kilka godzin wcześniej w jej mieszkaniu był Hardek i wyciszczył je z kompromitujących rzeczy. Potem ukrywała się krótko u brata przy ul. Rzeźniczej. Stamtąd wyjechała do Kasiny, a po tygodniu – na wakacje z bratem i bratową na Mazury. Tam 13 VII (w jej imieniny) odwiedził ją W. Hardek. Był dwa dni, po czym wrócili razem do Krakowa. Tu się rozstali, a ona pojechała na resztę wakacji w Bieszczady. Tam z telewizji dowiedziała się o wpadce Hardka i jego fatalnym wystąpieniu. Na początku września M. Bazarnek została zabrana przez SB ze szkoły w Libertowie na przesłuchanie, a w jej mieszkaniu zrobiono rewizję. W czasie kilkugodzinnego przesłuchania na Mogiłskiej wyparła się jakiegokolwiek znajomości z Hardkiem. Spotkali się potem już po jego zwolnieniu. Opowiedział jej dlaczego wystąpił przed kamerami telewizji. Twierdził, że po pierwsze chciał powiadomić kolegów z podziemia o swojej wpadce, gdyż zatrzymano go tuż przed posiadzeniem TKK. Było to w Pile i rzeczywiście było mało prawdopodobne, aby ktokolwiek wiedział co się z nim dzieje. Po drugie równocześnie z nim została zatrzymana jego przyjaciółka Hanka, która była w ostatnim okresie ciąży. Dostał od niej informację, że bardzo źle się czuje i źle to znosi. To chyba zdecydowało o jego załamaniu. Po zatrzymaniu miał spotkanie z Kiszczakiem w Opolu. Kiszczak miał mu zaproponować rozmowy pomiędzy władzami a podziemnymi strukturami, stawiając jako warunek wcześniejsze ujawnienie wszystkich podziemnych przywódców. Hardek dostał paszport w jedną stronę wraz żoną i dzieckiem. Wyjechał do Niemiec, gdzie miał możliwość leczenia chorego dziecka. Przed wyjazdem uporządkował i przekazał podziemiu całe archiwum. Fragmenty tego archiwum 16 X 2002 T. Starmach przekazała do krakowskiego oddziału IPN.

Dramat Władka zaczął się wiosną 1983 r. i był spowodowany przede wszystkim jego problemami osobistymi. Dowiedział się wówczas, że jego przyjaciółka Anna, z którą od jakiegoś czasu był związany, jest w ciąży. Równocześnie nie miał załatwionej sprawy rozwodowej, a czuł się odpowiedzialny za dzieci z pierwszego związku. Chyba to wszystko go przerosło. W normalnej sytuacji takie sprawy można załatwić w sposób odpowiedzialny, w warunkach konspiracji było to niemożliwe. Ja tylko mogłam się wtedy pewnych spraw domyślać, bo pomimo częstych kontaktów nigdy nie poruszaliśmy tych tematów.

Wiem, że odbyło się jego spotkanie ze Stefanem Jurczakiem, który chciał zejść do podziemia i ewentualnie go wymienić. Nie przyniosło ono żadnych uzgodnień. Na kolejne z niewiadomych przyczyn Władek już nie przyszedł, a potem nastąpiło jego aresztowanie.

Cała jego działalność stała się nieprzewidywalna. Czasami zachowywał się tak, jakby chciał być złapany. Jakby szukał honorowego wyjścia z sytuacji. W czasie mszy papieskiej na Błoniach stał na wałach Rudawy razem z Eugeniuszem Szumiejką pod wielkim sztandarem „Solidarności”. Ci, którzy go widzieli, przypuszczali, że mógł to zrobić celowo, by zostać aresztowanym. Z Gienkiem Szumiejką znali się chyba najlepiej. Zapewne Hardkowi odpowiadał jego pogodny nastrój, umiejętność rozładowania atmosfery. Zresztą on również w rok później się ujawnił. Pamiętam, że na przyjazd Ojca Świętego nasza „Solidarność” przygotowywała dokument, który miał mu zostać wtedy wręczony. Jego głównym autorem był Wiesiek Zabłocki. Powstała potem z tego książka „Stan wojenny w Małopolsce”.

Przez cały okres mojej działalności miałam także stały kontakt z „Hutnikiem” i ukrywającym się Wojtkiem Marchewczykiem, który jakby wszedł w miejsce Ciesielskiego. Kontakt z nim miałam za pośrednictwem Barbary Zientarskiej ps. „Kaśka”, członka redakcji „Hutnika”, zamieszkałej przy ul. Stachewicza na os. Azory. Hardek zawsze bardzo dbał, aby tam nie nastąpiła wpadka.

Od połowy czerwca 1983 r. mieliśmy coraz większe trudności ze złapaniem kontaktu z Hardkiem, czy nawet ustaleniem, gdzie on aktualnie przebywa. W tym okresie dysponował on już własnym samochodem, który dla niego nabyła dziewczyna o pseudonimie „Długa Hanka”. Nie wiem skąd, ale dowiedziałam się, że jego Anka wyjeżdża ze studentami na praktyki i on się do niej wybiera. W tym czasie bardzo o kontakt z nim zabiegał Wojtek Marchewczyk, co łączyło się z sytuacją w Hucie, skąd dochodziły sygnały o napiętej atmosferze. Mówiło się nawet o ewentualności strajku. Ja nawet takie spotkanie umówiłam, ale Hardek nie przyszedł na nie. Potrzebę kontaktu z nim wyrażało zresztą więcej osób naciskając na mnie, abym to umożliwiła. Ale nawet ja, która znałam chyba wszystkie jego „meliny” nie mogłam nigdzie na niego trafić. Być może, że po zatrzymaniu Goški Bazarnek przez SB utworzył on sobie nowe kanały kontaktowe, bo dochodziły do nas wieści, że z kimś się spotkał i był widziany w różnych miejscach. Tuż przed moim wyjazdem z młodzieżą na obóz harcerski w początku sierpnia udało mi się zorganizować spotkanie Hardka z Wojtkiem Marchewczykiem na osiedlu XXX-Lecia. Uczestniczył w nim jeszcze kolega Wojtka z AGH (chyba pracownik studium wojskowego).

To było moje ostatnie spotkanie z Władkiem. Po tygodniu pobytu na obozie z radia dowiedziałam się, że Hardek został zatrzymany. Nie ukrywam, że nadchodzących wiadomości o nim oczekiwałam z dużą dozą niepokoju, bo o zbyt wielu sprawach wiedziałam. Nie miałam też możliwości nikogo ostrzec czy wyczyścić „meliny”. Po powrocie do Krakowa okazało się jednak, że obawy te były niepotrzebne, bo on nikogo nie wydał. Nie wpadł też żaden z lokali i punktów kontaktowych.

Potem, po wyjściu Hardka z aresztu, gdzieś we wrześniu lub początkach października spotkałam go jeden, jedyny raz zupełnie przypadkowo na postoju taksówek przy Dworcu Głównym. Jak się okazało tego dnia wracaliśmy z Gdańska, gdzie byliśmy niezależnie od siebie. Nie pamiętam już czy to wtedy mi powiedział, czy dowiedziałam się nieco później, że właśnie był u Lecha Wałęsy. Miał go prosić o pomoc w wyjeździe z Polski i leczeniu chorego dziecka za granicą. Wiem od innych, że Wałęsa mu pomógł. W rozmowie ze mną prosił jedynie o potwierdzenie faktu, że po jego zatrzymaniu nikt przez niego nie wpadł. Rozmowa była bardzo krótka, bo zaraz podjechała taksówka.

Po ujawnieniu i wyjeździe z kraju Hardka, kontynuowałam działalność w strukturach podziemnych. Przynajmniej w mojej Komisji Zakładowej Pracowników Oświaty Dzielnicy Podgórze, gdzie nigdy nie przestałam pracować. Mieliśmy bardzo dobrze rozbudowane kanały łączności, dysponowaliśmy też własną olbrzymią, dobrze zorganizowaną podziemną biblioteką. Niestety koleżanka Janina Waśko, która była głównym twórcą tej „latającej” biblioteki, już nie żyje. Zmarła młodo. Mieliśmy niemal wszystkie książki drugiego obiegu, które cały czas krążyły pomiędzy nauczycielami. Oczywiście niektóre z nich nam ginęły, ale to chyba było nie do uniknięcia. Cały czas spotykaliśmy się z nauczycielami w różnych szkołach, niekiedy staraliśmy się też organizować im pomoc, gdy zachodziła taka potrzeba.

Po powrocie z wakacji w 1983 roku dałam sobie jakieś trzy miesiące urlopu, oczekując czy nie wypłyną jakieś sprawy związane z wypadką Hardka. Po krótkim czasie wróciłam do działalności. Pozostawałam w stałym kontakcie ze Stefanem Jurczakiem, który przejął jakby pałeczkę po Hardku. Podobnie jak wcześniej, byłam wielokrotnie „wykorzystywana” w charakterze łączniczki. Potem chyba w 1986 ze Stefanem Jurczakiem i Jurkiem Zdradą organizowaliśmy duże spotkanie TKK, które odbyło się w Krakowie. Przyjechało na nie kilkadziesiąt osób (ok. 40), a właściwie mężczyzn. Ze znanych ludzi pamiętam Jerzego Buzka i sekretarza Wałęsy, Jacka Merkla. Odbyło się ono w mieszkaniu pracownika jednej z krakowskich uczelni przy ulicy Grabowskiego. W samych rozmowach nie uczestniczyłam, zajęta sprawami technicznymi, aprowizacją i obsługą tego towarzystwa. Posiłki gotowała moja przyjaciółka, gdyż właściciele mieszkania nie mieli zdolności kulinarnych. Wielu delegatów nocowało w mieszkaniach moich znajomych.

Tak trwało to kilka lat, aż do jesieni 1988 r., kiedy przystąpiono do ujawniania struktur i odbudowy Związku.